

Cezary RITTER

MUR, BRAMA, MIASTO I EUROPA

Idea wspólnej Europy jest obecnie często i chętnie, a od czasu do czasu przy „podwyższonej temperaturze”, dyskutowana nie tylko w naszym kraju, ale także w zachodniej części kontynentu. Inaczej jednak są rozłożone akcenty. O ile doniesienia w polskich mediach koncentrują się przede wszystkim na warunkach i terminie przyjęcia Polski i pozostałych kandydujących państw do Unii Europejskiej – prawdopodobnie w 2003 roku czeka nas w tej sprawie referendum – to w krajach członkowskich Unii więcej mówi się na przykład o konsekwencjach wprowadzenia wspólnej waluty, która począwszy od stycznia 2002 roku na stałe już zastąpi markę, franka, lira... Odchodzi w przeszłość kolejny symbol suwerenności państwa (i nawet czekoladki-pieniążki w złotych papierkach, które moja żona kupuje czasem dla dzieci, są już dostępne wyłącznie jako imitacja EURO). Kraje, które pół wieku temu zainicjowały procesy integracyjne, tworząc Europejską Wspólnotę Węgla i Stali, teraz uczyniły kolejny krok, tworząc unię walutową.

Ponieważ w Europie Zachodniej Unia jest faktem, rzadziej tam niż u nas stawia się pytanie: po co w ogóle jest ona potrzebna? Nie znaczy to jednak, że w ogóle na ten temat nie myśli się i nie dyskutuje. Temat ten powrócił zwłaszcza po tragicznych wydarzeniach w USA z 11 września. Można się spodziewać, że w obliczu takich przejawów zła i wobec płynącego stąd poczucia zagrożenia nie tylko rządy, ale i same narody wykażą większe zainteresowanie tworzeniem wspólnych struktur politycznych. Zobaczymy, czas ostatecznie to zweryfikuje.

W rozważaniach nad potrzebą tworzenia wspólnych europejskich struktur przywoływane są różne argumenty. Niektórzy zauważają na przykład, że w niedalekiej przyszłości będzie się w świecie liczyło kilka wiodących rynków: amerykański, dalekowschodni, no i właśnie europejski, pod warunkiem wszakże, iż kontynent nasz będzie stanowił spójny, dynamiczny system gospodarczy. Politolodzy – na przykład często w ostatnich miesiącach cytowany Samuel Huntington – dodają, że mamy dziś do czynienia nie tylko z konkurencją rynków, ale z konkurencją całych systemów kulturowych. Płyńie z tego wniosek, że nie należy zaniedbywać wymiaru aksjologiczno-kulturowego projektu wspólnej Europy.

W odpowiedzi na to eurosceptycy powiadają, że przecież Unia rynku nie poszerza, ale właśnie go ogranicza, uzależniając gospodarkę od szeregu przepisów i decyzji urzędniczych (włoski minister do spraw europejskiej integracji Rocco Buttiglione wyraził kiedyś nadzieję, że Bruksela nie będzie Włochom narzucać przepisów w sprawie sposobu przyrządzania spaghetti...). Jeśli zaś idzie o kulturę Europy, to od dłuższego czasu znajduje się ona w poważnym kryzysie.

W tym miejscu – mała uwaga na marginesie. Wydaje mi się, że ostatnio w Polsce ubyłoby zarówno zdecydowanych euroentuzjastów, jak również zdecydowanych eurosceptyków, na rzecz postaw – powiedzmy – umiarkowanych czy realistycznych. Zamiast: „jestem za wstąpieniem Polski do Unii”, częściej słyszę: „nie jestem przeciwny wstąpieniu Polski do Unii”; zamiast: „jestem przeciwny...”, częściej słyszę: „byłbym owszem za, ale pod warunkiem, że...”.

Pomimo różnorodnych obaw – Europa jednoczy się. Wiele wskazuje na to, że jej oficjalnym (bo nieoficjalnym już jest) hymnem będzie *Oda do Radości* z finału IX symfonii Ludwiga van Beethovena do słów Fryderyka Schillera. Jej dźwięki często towarzyszą różnym aktom jednoczenia się kontynentu. Została na przykład uroczystie wykonana w Berlinie pod Bramą Brandenburską, krótko po obaleniu Muru Berlińskiego. Zarówno Beethoven, jak i Schiller wiązali w swoim czasie wielkie nadzieje z rewolucyjnymi przemianami w Europie, z hasłami wolności, równości i braterstwa. Szkoda tylko, że zapomina się przy tej okazji o tym, że treść tego hymnu dotyczy powszechnego braterstwa ludzi, ponieważ ponad gwiezdny firmament musi mieszkać Bóg Stwórca, Dobry Ojciec nas wszystkich. Jak w kontekście akceptacji tego hymnu – a jego słowa są zrozumiałe – wytłumaczyć daleko posuniętą niechęć twórców Karty Praw Unii Europejskiej do umieszczenia w niej zapisu o akceptacji chrześcijańskiego dziedzictwa Europy? W wersji francuskiej Karty Praw nie ma ani słowa o dziedzictwie religijnym, w wersji niemieckiej znalazł się wprawdzie taki zapis, ale dzięki „translatorskiemu kruczkowi” – jak to ujął jeden z austriackich biskupów. Przydałoby się chyba więcej konsekwencji...

Także Brama Brandenburska stała się w ostatnich latach – po pamiętnej „jesieni ludów” w 1989 roku, po słynnym wezwaniu amerykańskiego prezydenta Ronalda Raegana: „Mr. Gorbachov, open this Gate!”, i wreszcie po akcie zjednoczenia Niemiec w 1990 roku – jednym z symboli dążenia do jedności i wolności ludów Europy. Położona w centrum kontynentu, przez dziesięciolecia symbolizowała ideologiczno-polityczny jego podział, była poniekąd częścią Berlińskiego Muru. Berlińscy sklepikarze zresztą – skoro już wyprzedali bodaj wszystkie kawałki muru – chętnie dziś handlują pocztówkami z widokiem owego żołnierza Armii Czerwonej, zatykającego w maju 1945 roku na szczycie bramy radziecką flagę na znak zwycięstwa (i jednocześnie podziału Europy na strefy wpływów, choć żołnierz ów nic o tym pewnie nie wiedział) lub z widokiem tej bramy z 1961 roku na tle właśnie stawianego Muru Berlińskiego – i chyba nie najgorzej na tym zarabiają.

Teraz, od jesieni 1989 roku, Brama Brandenburska symbolizuje wzajemne otwarcie się na siebie obu części Europy. Tak została „zinterpretowana” przez Jana Pawła II w przemówieniu wygłoszonym w jej cieniu 23 czerwca 1996 roku. Ktoś zauważył przy tej okazji, że Papież posiada charyzmat zmiany „ustalonych” znaczeń symboli. A może po prostu głębiej niż wielu innych „czyta” historię, zwłaszcza historię XX wieku? Budowla, która – jak wspomniałem – symbolizowała podział Berlina, Niemiec i Europy, która była częścią przedzielającego miasto i kontynent muru, teraz – można powiedzieć, zgodnie ze swym architektonicznym przeznaczeniem – na powrót staje się bramą. I nie chodzi tylko o to, że teraz można swobodnie pod nią przejść, dojść spacerkiem ze wschodnioberlińskiej alei Unter den Linden do znajdującej się już po zachodniej części miasta Siegestsäule. Chodzi teraz przede wszystkim o to, co obie części miasta, więcej: co obie części Europy mają sobie na przełomie wieków – po prawdziwym już końcu II wojny światowej – do zaofiarowania.

Papież – w obecności ówczesnego burmistrza Berlina Eberharda Diepgena, kanclerza całych Niemiec Helmuta Kohla, w obecności kamer telewizyjnych z Europy (może oprócz telewizji z ojczyzny „Solidarności”, która tego wydarzenia nie transmitowała) – powiedział, że trzeba tę Bramę otworzyć na oścież. Otworzyć ją poniekąd dla czterech słów, których dziś Europa potrzebuje: wolności, prawdy, solidarności i miłości. Otworzyć, to znaczy też: nie wykluczać nikogo – żadnego człowieka i narodu, zwłaszcza najsłabszego – z europejskiej wspólnoty, z tworzonych w Europie struktur. Ponieważ w centrum historii i kultury Europy stoi Ten, który sam o sobie powiedział: „Ja jestem bramą” (J 10, 9), nie wolno też zamykać kontynentu na transcendentny wymiar ludzkiego życia nie tylko w wymiarze indywidualnym, ale i społecznym. Oto istota papieskiego przesłania spod Bramy Brandenburskiej dla całej Europy i zarazem gramatyka jej wspólnego języka.

Oto także niezbędne przesłanki dla polityki europejskiej – polityki, która będzie w stanie przynieść mieszkańcom Starego Kontynentu nadzieję i wiarę w przyszłość, pomimo wszystkich stojących przed Europejczykami i przed ludzkością trudności, lęków i zagrożeń.